

wieku, mówiący o tym, co zrobić, kiedy w spiżarni nic nie ma, a zjawiała się gromada niezapowiedzianych gości: *...weź żubra świeżego, a jak nie masz, to łosia...*

Jak się kształtuje smak? Wg mojej amatorskiej teorii w niemowlęctwie i pachołectwie wmuszają w nas kaszki i przeciery, co ma katastrofalne skutki, potem, zajęci ważnymi sprawami młodości, jemy dużo, pospiesznie, byle do syta. A dopiero w wieku dojrzałym, kiedy możemy sobie pozwolić na wybredność i kiedy odbyliśmy parę podróży zagranicznych, zaczynamy się rozsmakowywać i gustować – a to w tradycyjnej, ale prawdziwej kuchni polskiej, a to bałkańskiej, a to włoskiej, francuskiej, a to o matce wszelkich kulinariów – kuchni chińskiej; jej wielkość polega m.in. na łączeniu smaków, które w innych recepturach nie występują. Ale smak, jak wszystkie inne zmysły, z upływem lat się tępi i rozróżniamy tylko podstawowe: słony, słodki, gorzki, kwaśny i ten piąty, najbardziej powszechny – bez smaku. Choć są wyjątki – mistrzowie kuchni i prawdziwi smakosze zachowują ten zmysł do śmierci. Wspomniany wyżej Tadeusz Przytkowski, potomek znakomitego polskiego rodu, był nie tylko założycielem i kustoszem muzeum zegarów słonecznych, znawcą światowej renomy, ale też smakoszem, kancle-rzem międzynarodowej kapituły kulinarnej. Kiedyś w Jędrzejowie pokazał mi opatrzone pieczęciami pergamin – któryś z Jagiellonów nadawał dalekiemu przodkowi tytuł podcześnie go koronnego, a ten godności nie przyjął. Pan Tadeusz skwitował to słowami: *dureń, wina nie chciał nalewać...*

Potrawy i w ogóle rozkosze stołu pojawiają się współcześnie w wierszach żartobliwych i satyrycznych. W „prawdziwej” poezji występuje jabłko, brzoskwinia, malina, pomarańcza. Natomiast niegodne są pióra liryka pietruszka, burak, ziemniak (a przypominam, że wieszcz Adam napisał poemat o kartoflu), seler i rzodkiewka. Choć przecież Krzysztof Gąsiorowski nie próbował opisywać wszechświata, za to w jednym z wierszy zadał fundamentalne pytanie: *z czego zrobiona jest rzodkiewka...*

Zapewne wszyscy tego doświadczamy: ni z tego, ni z owego przyplątuje się melodia czy piosenka i natrętnie nam towarzyszy, nie umiemy się jej pozbyć przez kilka dni. Ale kiedy w samotności próbujemy ją zaśpiewać na głos – łapiemy się na tym, że fałszujemy. I cieszymy się, że naszego wokalu nikt nie słyszał. Rzecz w tym, że nasza pamięć zachowuje melodię bezbłędnie, ale szwankuje nasz aparat głosowy.

Tymoteusz Karpowicz opowiadał kiedyś, że był w Paryżu na osobliwym koncercie. Mianowicie w doskonale odizolowanej od zewnętrznych hałasów sali wyświetlano na ekranie partytury, a prawdziwi, obdarzeni absolutnym słuchem melomani słyszeli muzykę w całkowitej ciszy. Jest w tym pomysłu coś ekstremalnego: muzyka bez dźwięku, bez muzyki. Może ten eksperyment wynikał stąd, że nawet mistrzowskie wykonanie symfonii czy koncertu skrzypcowego nie jest doskonałe. W wielkim symfonicznym ansambli jakiś muzyk po prostu musi zdetonować, chociażby o pół,

ćwierć tonu. Ale niedoskonałość też bywa fascynująca. Miałem szczęście słuchać na żywo Artura Rubinsteina, który z łódzkimi filharmonikami pod batutą Henryka Czyżyka grał koncert f-moll Chopina. Nigdy, ani wcześniej, ani później, nie słyszałem wolniejszego wykonania. A przecież było wielkie.

Czy poeta musi mieć słuch muzyczny? Dawniej było to niezbędne, trzeba było umieć słyszeć rytm, prozodię wiersza. Dziś, kiedy wiersz klasyczny jest w zaniku, albo przynajmniej w głębokiej defensywie, nie jest to już konieczne. Ale przecież poeci wiele muzyce zawdzięczają. Gałczyński jest muzyczny nie tylko dlatego, że w jego wierszach roi się od Chopinów, Bachów, Scarlattich i Vivaldich, że tłoczno w nich od terminów muzycznych – te wiersze są melodyjne. Muzyczne są wiersze Jarosława Iwaszkiewicza – też nie tylko dlatego, że kochał muzykę, grał na fortepianie, a nawet próbował komponować. Muzyczne są wiersze Szyborskiej, Nowaka, Grochowiaka i kilku tuzinów innych poetów.

Każda próba opisanie muzyki słowami – także poetyckimi – jest ułomna. Znakomite eseje muzyczne pozwalają nam lepiej zrozumieć utwory. Ale czy na pewno utwory, czy tylko interpretację eseisty? Czy – tym bardziej – wiersz chcący oddać wielkość kompozycji i jej wykonanie, dochowuje jakiegokolwiek wierności temu dziełu?



Marek Wawrzekiewicz

Proporcje między poezją i literaturą w ogóle, a muzyką są inne niż w przypadku związków muzyki i sztuk pięknych: literatura znacznie częściej była dla muzyki źródłem inspiracji. Prawdopodobnie zapomnieniu uległoby wiele utworów poetyckich, gdyby nie to, że kompozytorzy stworzyli z nich pieśni. Ocalały więc teksty do których muzykę napisali Liszt, Schubert (autor około 600 pieśni), Moniuszko, Schumann, który próbował swych sił w rzemiośle poetyckim, Gershwin i wielu innych. Wspaniały Carl Orff skomponował oratorium „Catulli Carmina” do tekstów rzymskiego poety Katullusa, czym wydobyl go z wielowiekowego zapomnienia. Kiedy przypominamy sobie jak „Nessun dorma”

śpiewali Pavarotti czy Placido Domingo, nie zastanawiamy się nad treścią tej arii. Podobnie jest z operami. Gdybyśmy libretto, często oparte na dziełach literackich, przeczytali bez muzyki, to okazałoby się, że jest to czysta grafomania. Ale dzięki Bizetowi, Czajkowskiemu, Verdiemu czy Pucciniemu nie czytamy, nie zwracamy uwagi na durne recitativo, tylko zachwyceni słuchamy. Literatura jest w operze wartością trzeciorzędą.

Przez całe lata panowała u nas moda na poezję śpiewaną, wykonywano ją wszędzie, organizowano nawet festiwale. Miała ta moda dobre i złe strony. Dobre – bo popularyzowała poezję, która z natury rzeczy jest sztuką elitarną. Złe – bo domorośli artyści po opanowaniu czterech chwytów gitarowych komponowali melodie do wierszy bezbronnych i Bogu ducha winnych poetów; zdarzało się też, że sami układali teksty „poetyckie”. Tak czy owak był to krok w dobrą stronę, potwierdzający związek muzyki z poezją.

Zmysłem słuchu rejestrujemy muzykę, choć stanowi ona niewielki procent tej rejestracji. Dźwięki otaczają nas tak przemożnie, są tak wszechobecne, że jeśli nie są bardzo dokuczliwe, przestajemy na nie zwracać uwagę. Kiedy znajdziemy się w ciszy wypełnionej szumem lasu lub szelestem liści czujemy się nieswojo – tak, jakbyśmy przestali być częścią natury. Zastanawiam się kiedy ostatnio słyszałem śpiew skowronka. Wolałbym, aby to była wina mojego niedosłuchu, a nie nowoczesnego rolnictwa, które temu ptaszekowi odebrało warunki egzystencji.

Dźwięki, zapachy, obrazy, smaki. To, w czym żyjemy i czym żyjemy tu i teraz. Ale również to, co zapisało się w naszej pamięci.

II

Pamięć – zdolność do rejestrowania i ponownego przywoływania wrażeń zmysłowych, skojarzeń, informacji, występująca u ludzi, niektórych zwierząt i w komputerach.

Nie wiem jak i od kiedy – od jakiego wieku – pamięć gromadzi swoje zasoby. Nieuchronne są postępy sklerozy. Ale – rzecz dziwna – nawet w wieku podeszłym w hipokampie, czyli części mózgu, rodzą się neurony formułujące wspomnienia. Może dlatego starzy ludzie lepiej pamiętają bardzo wczesne niż przedwczorajsze zdarzenia. Nie mam na ten temat naukowej wiedzy, pewnie błędzę po omacku. Nie wiem jak działa mechanizm selekcji i jak to się dzieje, że nie możemy z pamięci usunąć zdarzeń i faktów, o które radzi byśmy wymazać i po co w niej zostają sprawy błahe, nieważne, zbyteczne. Napisałem kiedyś w jakimś wierszu, że pamięć bywa jak stara, wyrobiona i wypełniona piaskiem kopalnia, która jednak pod wpływem niespodziewanego impulsu ożywa – odyzwa się coś, co wydawało się zapomniane, pogrzebane. Jest – pamięć – rodzajem lamusa, w którym bezwiednie gromadzimy niepotrzebne z pozoru przeżycia, obserwacje, spostrzeżenia; okazuje się po latach, że są one przydatne, naddają się do wiersza.

(Dokończenie na stronie 10)